

Kronika tygodniowa.

Jako spokojny obywatel, wiedzący o tem, że wszelka władza, więc i magistrat, pochodzi od Boga, należy więc być zawsze i wszędzie posłusznym jej zarządzeniom, chcąc pozatem dać piękny przykład innym współobywatelom, wody absolutnie nie piję, koni nie pławię i sam się nie kąpię, bo to strzeżonego Pan Bóg strzeże, a ludziska powiadają sobie, że „we Wiśle cholera się utopiła!”...

Doszło do tego, że na widok choćby tylko szklanki wody doznaję takiego rozdrażnienia, iż przeraziło to nawet moją najdroższą Weronisję, która w żaden sposób nie chciałaby zostać wdową, gdyż, jak sama powiada „w czarnym kolorze nie jest jej wcale do twarzy...”

Obiecila wszystkie sąsiadki z pierwszego i drugiego piętra, zawadziła nawet o oficyny, ponieważ zaś, jak ogólnie wiadomo, każda kobieta jest urodzoną, choć nie dyplomowaną lekarką, orzekły, że nie ulega najmniejszej wątpliwości, iż cierpię na wodowstręt, co jest urzędowo zakazaniem i mogłoby się nawet stać dla otoczenia niebezpiecznym.

— Wie kochana pani — doszło do mych uszu — mój biedaczek nawet widoku wody nie znosi, zaraz zaczyna się pieniść i rzucać!

— O źle, moja pani! — odpowiada na to pani radczyni (mąż jest tak zwanym „radcą dziadowskim”, czyli opiekunem ubogich wdów i sierót z ramienia magistratu).

— Domu się nie trzyma... — ciągnie dalej moja pocziwota — i...

— Jeszcze gorzej! — konkluduje pani oficjalka — Powiadam pani, niech mu pani kupi kaganiec! Jeszcze kogo pogryzie... Trzeba dać znać panu fizykowi... A nie szczeka przypadkiem? Bo wtedy, toby już nie było żadnego ratunku...

— Tego nie zauważyłam, choć przyznam się pani, że w nocy słyszałam jakieś podejrzane głosy, dochodzące z jego łóżka...

Stało ostatecznie na tem, że należy mnie poddać badaniu, wyłoniła się jednakowoż różnica zdań, kogo wezwać, lekarza, czy weterynarza.

— Bo to uważa kochana pani — mówiła pani sekretarzowa — weterynarz lepiej się zna na wściekłości, niż lekarz!

Słyszając to, miałem ochotę wpaść między baby i urządzić im taką awanturę, iżby ją popamiętały bodaj ruski miesiąc, bałem się przecież, iż w ten sposób pogorszę tylko sytuację, orzekną bowiem, że jestem wściekły i to w ostatnim stadium choroby i kto wie, jaki los mnie czeka! A zauważyłem, że każda z sąsiadek, ilekroć spotka mnie na ulicy, schodzi mi z drogi i zmyka, jakby dyabeł przed święconą wodą.

Na drugi dzień, gdy jeszcze leżałem w łóżku, przyszedł lekarz, tłumacząc się, że wpadł tylko, przechodząc, aby się dowiedzieć, jak też kochani państwo się mają.

— Całkiem dobrze! — odpowiedziałem z pod kołdry — Teraz chorować mogą tylko bogaci, a nie takie dziady, jak my.

— A może tobie, kotusiu, co dolega? — pyta moja lepsza połowa.

— Nie! — odrzekłem lakonicznie.

— A czy nie napiłbyś się przypadkiem wody?

— Czyś zwaryowała? — wrzasnąłem, nie robiąc sobie nic z obecności eskulapa.

— A widzi pan konsyliarz! — żona moja na to.

Medicus zrobił minę seryo, poprawił okulary, pogładził łysinę i zaczął mnie badać, pukać i macać, kazał sobie pokazać język, który ze złości wywaliłem, jak mogłem najdalej.

Pokiwał głową, wreszcie rzekł:

— No, dzięki Bogu, żeście mnie państwo dość wczas wezwali... Jeszcze będę mógł biedaka uratować!

— Ależ, do pioruna! Mnie nic nie brakuje...

— Być może! Bardzo być może! Zapiszemy tu panu proszki i miksturkę i zaraz się wszystko zmieni. Jutro tu będę... Gdyby jednak stan się pogorszył wcześniej, proszę mi dać znać...

Poszedł, a ja na odchodnym pomyślałem tylko, jako dobrze wychowany człowiek: „Daj się pan wypchać swymi proszkami i wymalować miksturkami. Ja tego do ust nie wezmę, bo mi życie miłe! Mam umierać, to niech ginę naturalną śmiercią!”

I tak się też stało... Niech jednak kto nie myśli, że może umarłem, gdyż w takim razie nie byłoby kroniki, nie zażyłem tylko owych medykamentów i jestem zdrów, ale wody nie piję, choć żona i córki patrzą na mnie ciągle z podejrzliwością, ilekroć wpadnę w pasję, a dość często mi się to zdarza,

zajmują miejsca w bezpieczniejszym odcinku, to jest koło drzwi.

Co jednak pić, gdy człowiek ma pragnienie? Wody się nie powinno, a piwa nie można, bo coraz gorsze i droższe, jeśli więc umrę z pragnienia, to nie moja wina, ale fizykatu, od którego też wówczas zażadam odszkodowania, naturalnie w gotówce, bo teraz pieniądze to grunt!

A kto wie, czy wkrótce i piwa nie braknie!... Dawniej, ludzie byli w szczęśliwszym położeniu, zwłaszcza wtedy, gdy żył Mojżesz. Uderzył w skałę laską i sikła woda, dziś wal, choćby parasolem, a skutku nie będzie. A takby się nam zdał teraz taki cudotwórca, któryby mógł dostarczyć za tanie pieniądze prazdroju pilzneńskiego lub choćby okocimskiej wilgoci!...

Zrozpaczony więc i spragniony oddaję się teraz więcej gorączkowo życiu publicznemu. Onegdaj wziąłem też udział w walnym zgromadzeniu „Towarzystwa wzajemnej pomocy starych panien, mających ochotę do stanu małżeńskiego”, które zwłaszcza w tych czasach, gdy tylu młodych ludzi zginęło na placu boju, ma szczególniejszą rację bytu. Jestem jego honorowym członkiem wspierającym, to jest takim, który wkładkę nie płaci.

Trzeba zaś wiedzieć, że w łonie Towarzystwa owego panuje od dłuższego już czasu rozdwojenie, członkinie bowiem utworzyły dwie zwalczające się namiętnie frakcje, z których jedna chce drugą przegadać. Do pierwszej należą te, które nie zrezygnowały jeszcze z rozkoszy małżeńskich, do drugiej takie, które już utraciły wszelką nadzieję, nie miałyby przecież nic przeciw temu, gdyby się tak coś trafiło.

Przewodnicząca, zagajając posiedzenie, powitała najpierw gości, specjalnie mnie odróżniając, następnie zaś wezwała do odczytania przygotowanych referatów.

W tej jednak chwili zerwały się z miejsc wszystkie referentki i każda chciała pierwsza głos zabrać. Zdawało mi się, że jestem u stóp wieży Babel, kiedy to pomieszały się ludziom języki, zatkałem też uszy i już miałem dać drapaką, przytrzymała mnie jednak za poję surduta sekretarka, gdy tymczasem przewodnicząca przekonywała szanowne zgromadzenie, że można mówić, ale nie razem, lecz po kolei, a jest dość czasu, każda więc będzie się mogła należycie wygadać.

Dużo czasu minęło, zanim się jej to udało. Pierwsza zabrała głos przedstawicielka pierwszej grupy, panna Mężolubka i wygłosiła referat na temat: „W jaki sposób możnaby dopomóc usychającym z tęsknoty dziewczynom do wejścia w związki małżeńskie”.

Sądzę, że to zaciekawi Czytelników, podam też krótką treść przedłożenia.

Prelegentka, współczując z wielu towarzyszkami niedoli, które nie mogą się doczekać spełnienia swych pragnień, a chcąc sobie i im ułatwić wyjście za mąż, proponuje:

1) Każdy mężczyzna, uznany przez komisję poborową, w skład której z urzędu wchodzić ma delegatka Towarzystwa z głosem decydującym, za zdolnego do stanu małżeńskiego, ma być przeznaczony do losowania.

2) W tym celu na każdego z nich przeznaczają się po tysiąc losów, każdy w cenie dziesięciu koron, które mogą kupować, ale tylko niezamężne niewiasty, tak panny, jak i wdowy.

3) Gdy wszystkie losy na poszczególnego osobnika zostaną za gotówkę rozsprzedane, odbędzie się wobec c. k. notaryusza losowanie. Właścicielka losu, na który padnie wygrana, otrzymuje męża, a wraz z nim dziesięć tysięcy koron za sprzedane losy. Kwoty tej ma młode stadło użyć na ustanie sobie gniazodka.

4) Rozwód mógłby nastąpić tylko z bardzo ważnych powodów i to nie wcześniej, jak po dziesięciu latach, licząc od dnia ślubu.

5) Gdyby okazało się, że właścicielem wygrającego losu jest mężczyzna, któryby w ten sposób chciał zdobyć pieniądze, ale bez dodatku żony, w drodze przymusowej zostanie zaślubiony z najstarszą z członkiń Towarzystwa.

6) Każda z członkiń może nabywać większą liczbę losów na różne męskie osobniki, w razie zaś gdyby kilka na nią padło wygranych, może sobie wybrać tylko jednego męża, gdyż wielożeństwo jest u nas ustawowo zakazane. Inne, przypadające na nią wygrane, przechodzą na własność Towarzystwa i zostaną rozlosowane pomiędzy te z członkiń, które w grze dotąd szczęścia nie miały.

7) Statut nowej loteryi małżeńskiej wchodzi w życie z chwilą zatwierdzenia go przez c. k. Namiestnictwo.

Projekt ten wywołał niebawem entuzjazm wszyst-

kich, bez względu do której grupy należały, kilkadziesiąt obecnych zapytywało, kiedy można będzie nabywać losy. Projektodawczyni postanowiono zamianować członkinią honorową Towarzystwa i wziąć udział gremialnie w jej ślubie, gdyby tak los padł na nią.

Przedstawicielka drugiej partii, do której należały te zrezygnowane, omawiała sprawę, czy nie należałoby uformować na czas wojny legionu amazońek, któryby w najbliższym czasie wyruszył na plac boju, naturalnie po należytem wyćwiczeniu przez wykwalifikowane siły wojskowe. W tym celu należy się zwrócić do komendy, aby przysłała odpowiednich instruktorów.

— A nuż, moje panie — kończyła tęsknym głosem — znajdzie tam która z nas swego niewolnika?

Gdy poprzedni wniosek przyjęto bez dyskusji, nad tym wywiązała się dłuższa debata. Panna Cnotliwska była zdania, że ostatecznie możnaby i tego sposobu spróbować, skoro inne już zawiodły, ale to nie wypada, by mężczyzna i do tego wojskowy, miał być nauczycielem damskiego legionu.

Zakrzyczały ją jednak inne, odsyłając projekt do komisji, która ma się zastanowić, w jaki sposób całą sprawę przeprowadzić, by można było wyruszyć jeszcze przed końcem wojny na plac boju. Należy bowiem korzystać ze sposobności, jaka się chyba nie tak prędko zdarzy. Postawiono za warunek, iż każda z amazońek, która zdobędzie sobie niewolnika i wróci z nim, otrzyma medal za waleczność z odpowiednim dodatkiem w gotówce, mającym być użytym na opędzenie pierwszych potrzeb domowych. O fundusze należy się równocześnie postarać i w tym celu zwrócić niezwłocznie do ministerstwa wojny i obrony krajowej, jako najbardziej w tym względzie interesowanych.

Zakończono posiedzenie starcpolskiem „Kochajmy się”, poczem zgromadzone rozeszły się do domów pełne najlepszych nadziei.

Według zapewnienia prezesowej przybyło Towarzystwu w kilku dniach po posiedzeniu kilka tysięcy członkiń, komisja losowa i legionowa pracują w pocie czoła, by jak najprędzej przyjść przed następne walne zgromadzenie z zupełnie realnymi już wnioskami, które uchwalone zostaną *en bloc*.

Sprawa to dla społeczeństwa naszego nadzwyczaj żywotna, nic też dziwnego, że poświęciłem jej tyle miejsca i atramentu, tak, że obawiałem się już, że nie będę mógł poruszyć innych punktów.

Przedewszystkiem więc muszę wspomnieć o panu Hardenie, który znów zabrał głos, tym razem w obronę króla włoskiego, tłumacząc społeczeństwu, że on nie jest wcale wiarołomcą, zdradzającym swych sojuszników, ale bardzo praktycznym człowiekiem, umiejącym tylko korzystać ze sposobności.

Pozazdrościł widocznie laurów d'Annunziowi i żał mu było, że o tamtym piszą, a nie o nim i dlatego przemówiła oślica Balaama.

W dalszym ciągu muszę wyrazić zdziwienie, że Warszawianki narzekają na biedę i ciężkie czasy. Sytuacja, jak widzę z artykułu, ogłoszonego w „Czasie” p. t. „Z zapisków domowych w Warszawie”, nie jest wcale tak krytyczną, skoro można spożywać takie smakołyki, na jakie my pozwolimy sobie nie możemy.

Czytając o tych omleciakach, konfiturkach i t. d. tak się obliżywałem, iż moja zacna Weronisia znowu poważnie zaniepokojoną była o moje zdrowie i zapytała troskliwie:

— A możebyś się napił szklaneczkę wody?

Popatrzyłem na nią wzrokiem bazylijską, któremu stoł nadeptał na ogon, chcąc jej w ten sposób wyrazić swe ubolewanie, iż, choć żyjemy ze sobą już od lat trzydziestu, nie wie jeszcze, że na mnie woda działa tak, jak nie przymierzając czerwony kolor na hiszpańskiego byka lub wspomnienie nazwiska Hindenburga lub Mackensena na wielkiego księcia Mikołaja Mikołajewicza, przenoszącego się podobno w dobrze zasłużony stan spoczynku ze względu na zdrowie, nadwyrężone w galicyjskiej kampanii.

A *propos* mojej małżonki muszę nadmienić, iż kilku już Czytelników, a także Czytelniczek zwróciło się do mnie z zapytaniem, czy ja naprawdę jestem żonaty, tak, jakby to można było zrobić „na żarty”.

Niestety! Tyle im tylko odpowiedziałem, słowo to przeczytać jednak muszą z tak tragicznym akcentem, z jakim je napisałem.

Jedna z Czytelniczek zauważyła, może i słusznie, że jestem czasem za wesoły, jak na człowieka żonatego, odpowiedziałem jej zaraz, że ja wesołość tylko udaję, w gruncie bowiem rzeczy jestem hipochondrykiem, tettrykiem, melancholikiem i t. d.

Proszę zresztą zapytać o to moją żonę, a ona to słowo w słowo potwierdzi!